



JOHN
GRISHAM

Czas zapłaty

O książce

Proces Carla Lee Hayleya, oskarżonego o zabójstwo dwóch mężczyzn, którzy zgwałcili i skatowali jego dziesięcioletnią córkę, miał otworzyć Jake'owi Brigance, adwokatowi Carla drogę do sławy i pieniędzy. Tymczasem trzy lata po wygranym procesie, który wstrząsnął nie tylko Clanton w Missisipi, ale i całym stanem, Jake pozostaje małomiasteczkowym prawnikiem i ledwie wiąże koniec z końcem.

Niespodziewanie pojawia się szansa na zmianę tej sytuacji, gdy nieuleczalnie chory na raka Seth Hubbart postanawia przyspieszyć bieg wypadków i popełnia samobójstwo, a wcześniej spisuje kontrowersyjny testament i powierza Jake'owi zadanie zatwierdzenia go przed sądem. Nie jest to proste, bo istnieje wcześniejszy testament wskazujący dzieci Setha jako głównych spadkobierców ponad dwudziestomilionowej fortuny.

Walcząc z prawnikami największych kancelarii w Memphis i Jackson, Jake Brigance będzie się musiał dobrze napocić, by przekonać ławę przysięgłych, że Seth Hubbart był w pełni władz umysłowych, kiedy zapisywał dziewięćdziesiąt procent majątku swojej czarnoskórej gosposi, i że nie został przez nią zmanipulowany. A w ławie przysięgłych zasiadają obywatele okręgu Ford, w którym biali mieszkańcy stanowią znaczną większość.

Czyżby miała się powtórzyć sytuacja sprzed trzech lat, kiedy to Clanton tak wyraźnie podzieliło się na czarnych i białych? Czy znów zapłoną krzyże?

JOHN
GRISHAM

Czas zapłaty

Z angielskiego przełożyli

LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

ZBIGNIEW KOŚCIUK



Wydanie elektroniczne

JOHN GRISHAM

Współczesny pisarz amerykański, autor 30 powieści, w tym czterech dla młodzieży, fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład osiągnął 275 milionów egzemplarzy. Dziewięć z nich zostało zekranizowanych. W 2011 pisarz otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

www.jgrisham.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
RAPORT PELIKANA
NIEWINNY CZŁOWIEK
TRENER
APELACJA
BRACTWO
TESTAMENT

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone

OSKARŻONY
AKTYWISTA

Tytuł oryginału:
SYCAMORE ROW

Copyright © Belfry Holdings Inc. 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Lech Z. Żołądziowski & Zbigniew Kościuk 2014

Redakcja: Piotr Chojnacki

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Zdjęcie na okładce: plainpicture/C&P

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-043-3

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu ...

...
...

Rozdział 2

Jake Brigance leżał wpatrzony w czerwone cyferki na elektronicznym budziku. O piątej dwadzieścia dziewięć wyciągnął rękę, wcisnął guzik i ostrożnie spuścił nogi na podłogę. Carla obróciła się z boku na bok i szczerzej otuliła kołdrą. Jake klepnął ją lekko w pupę i powiedział „dzień dobry”, ale nie zareagowała. Był poniedziałek, zwykły dzień roboczy, i Jake wiedział, że żona pośpi jeszcze z godzinę, potem zerwie się z łóżka i popędzi z Hanną do szkoły. W czasie wakacji Carla sypiała dłużej, a dni wypełniały jej babskie sprawy i spełnianie zachcianek Hanny. Natomiast plan dnia Jake’a praktycznie zawsze wyglądał tak samo. Wstawał o wpół do szóstej, o szóstej był już w kawiarni, przed siódmą wchodził do biura. Niewielu prawników rozpoczynało dzień tak wcześnie jak Jake Brigance, choć i on — osiągnąwszy niedawno poważny wiek trzydziestu pięciu lat — zaczynał się coraz częściej zastanawiać, co go rano tak pędzi. I dlaczego tak mu zależy, by być w biurze wcześniej niż inni prawnicy z Clanton? Odpowiedź — nigdyś tak oczywista — stawała się coraz bardziej mglista. Marzenie, by zostać wielkim prawnikiem

procesowym, wcale go nie opuściło, a jego ambicje ani trochę nie zmalały, tyle że górę brała proza życia. Dziesięć lat walki na pierwszej linii, a na jego biurko wciąż trafiały tylko testamenty, umowy nabycia i akty własności oraz banalne spory o treść zapisów w kontraktach. Ani jednej przyzwoitej sprawy kryminalnej, żadnych dobrze rokujących kraks samochodowych.

Wyglądało na to, że najbardziej chwalebny moment kariery ma już za sobą. Od uniewinnienia Carla Lee Haileya minęły trzy lata i Jake zaczynał się obawiać, że po tym szczycie kariery nic podobnego go już nie czeka. Jednak uporczywie próbował odganiać od siebie takie myśli, powtarzając sobie, że ma dopiero trzydzieści pięć lat i jest gladiatorem, którego na arenach sądowych czeka jeszcze wiele zwycięstw.

Nie musiał rano wypuszczać psa, bo psa już nie było. Max zginął trzy lata temu w pożarze, w którym spłonął ich ukochany, prześliczny i zadłużony po dach wiktoriański dom przy Adams Street. Ludzie z Klanu podpalili go w lipcu 1985 roku, w kluczowym momencie procesu Haileya. Najpierw spalili krzyż na trawniku przed wejściem, potem próbowali wysadzić dom. Jake wysłał wtedy Carłę i Hannę do rodziny i postąpił słusznie. Klansmani przez miesiąc próbowali go zabić, w końcu podpalili mu dom. Mowę końcową na procesie wygłaszał w pożyczonym ubraniu.

Temat nowego psa był zbyt bolesny, by poważnie się nim zajmować. Kilkakrotnie się do tego przymierzali i dawali spokój. Hanna chciała mieć psa i pewnie jej się to należało, bo była jedynaczką i często się skarżyła, że nudzi jej się samej. Jednak i Jake, i — zwłaszcza — Carla wiedzieli, na kogo spadnie obowiązek przyuczania szczeniaka do porządku i sprzątania po nim. Ponadto mieszkali teraz w wynajętym domu i nie można było powiedzieć, że są tu u siebie. Może obecność zwierzaka nadałaby ich życiu większą normalność, a może wręcz przeciwnie. Jake często o tym myślał w pierwszych minutach po przebudzeniu. Bo tak naprawdę brakowało mu psa.

Wziął szybki prysznic i ubrał się w małej gościnnej sypialni, którą zamienili z Carłą we wspólną garderobę. Zresztą pokoje w tym cudzym domu były małe i wszystko w nim było tymczasowe. Umeblowanie stanowiło żalostną zbieraninę prezentów od przyjaciół i staroci z pchlego targu. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z planem, któregoś dnia wszystko to trafi na śmietnik. Niestety Jake z przykrością stwierdzał, że na razie nic tego nie zapowiada. Ich roszczenie wobec firmy ubezpieczeniowej utknęło na etapie przepychanek przedprocesowych i wyglądało beznadziejnie. Złożył je sześć miesięcy po wyroku w sprawie Haileya, gdy zdawało mu się, że świat należy do niego, i wszystko widział w różowych barwach. Jak jakaś firma ubezpieczeniowa śmie go oszukiwać? Niech tylko stanie przed następną ławą przysięgłych w okręgu Ford, to on już wydobędzie z niej właściwy werdykt. Jednak nastrój pewności siebie zaczął się kruszyć, gdy Jake i Carła uświadomili sobie, że ich dom był poważnie niedoubezpieczony. Cztery przecznice od obecnie wynajmowanego domu ich pusta działka leżała odłogiem, z wolna porastając chwastami. Mieszkająca obok pani Pickle obiecała mieć na nią oko, tyle że nie bardzo miała co pilnować. Sąsiedzi czekali cierpliwie na chwilę, gdy na posesji Brigance'ów zacznie rosnać nowy piękny dom i powrócą właściciele.

Jake wszedł na palcach do pokoju Hanny, pocałował ją w policzek i podciągnął wyżej kołderkę. Miała siedem lat, była ich jedynym dzieckiem i następnych nie planowali. Chodziła do drugiej klasy szkoły podstawowej w Clanton, przez ścianę z przedszkolem, w którym pracowała jej mama.

Przeszedł do kiszkowatej kuchni, włączył ekspres do kawy i chwilę odczekał, aż zacznie prychać. Otworzył teczkę, musnął końcami palców tkwiącą w niej półautomatyczną dziewiątkę w kaburze i włożył kilka plików akt. Już przywykł do noszenia broni i bardzo go to martwiło. Bo jak można prowadzić normalne życie, gdy ma się stale pod ręką broń? Ale normalne czy nie,

noszenie broni było koniecznością. Najpierw próbują wysadzić ci dom, potem go podpalają; przez telefon grożą twojej żonie; palą krzyż na trawniku przed domem; katuja do nieprzytomności męża twojej sekretarki i robią to tak skutecznie, że wkrótce umiera; nasyłają snajpera, który próbuje cię zastrzelić, tylko że strzela niecelnie i zamiast w ciebie trafia w strażnika; próbują cię terroryzować podczas procesu i odgrażają się jeszcze długo po jego zakończeniu.

Czterech skazano i ci odsiadywali wyroki — trzech w więzieniu federalnym, jeden w Parchman. Ale tylko czterech, jak Jake wciąż sobie powtarzał. Do więzienia powinno trafić co najmniej tuzin. Tak samo uważał Ozzie i inni miejscowi czarnoskórzy liderzy. Z przyzwyczajenia i w poczuciu bezsilności Jake dzwonił do FBI co najmniej raz w tygodniu, wpytując o postępy w śledztwie. Minęły trzy lata, zaczęto więc unikać jego telefonów i nie oddzwaniać. Wtedy zaczął słać pisma. Teczki z dokumentacją sprawy zajmowały oddzielną szafkę w jego gabinecie.

Tylko czterech. Znał po nazwisku wielu innych. Wszyscy mieli status podejrzanych, w każdym razie dla Jake'a. Niektórzy się wynieśli, inni zostali, ale jedni i drudzy prowadzili zwykłe życie, jakby nic się nie stało. Dlatego wciąż trzymał pod ręką broń, na którą miał wszystkie niezbędne pozwolenia. Jeden pistolet chował w teczce, jeden w samochodzie, dwa miał w biurze i jeszcze w paru innych miejscach. Jego kolekcja broni myśliwskiej przepadła w pożarze, ale powoli ją odbudowywał.

Wyszedł na niedużą murowaną werandę i wciągnął do płuc chłodne powietrze. Na ulicy przed domem stał radiowóz z biura szeryfa okręgu Ford, z niejakim Louistem Tuckiem za kierownicą. Tuck pracował na nocnej zmianie, a do jego podstawowych zadań należało kręcenie się po okolicy przez całą noc i stanie przed domem Brigance'ów o piątej czterdzieści pięć każdego ranka, od poniedziałku do piątku. Jake Brigance co rano wychodził na werandę i machał na przywitanie, a Tuck

odmachiwał, co oznaczało, że Brigance'om udało się przeżyć kolejną noc.

Dopóki Ozzie Walls będzie szeryfem okręgu Ford — czyli co najmniej jeszcze przez trzy lata, a zapewne znacznie dłużej — on i jego funkcjonariusze zamierzali robić wszystko, by chronić Jake'a i jego rodzinę. Jake zajął się sprawą Carla Lee Haileya, harował jak wół za grosze, unikał kul, nie zwracał uwagi na groźby i stracił niemal wszystko za cenę wyroku uniewinniającego, który wstrząsnął okręgiem Ford i do dziś był rozpamiętywany. Dlatego chronienie go trafiło na listę priorytetów Ozziego.

Tuck ruszył z miejsca. Jak zwykle zamierzał zrobić rundkę po okolicy, kilka minut po odjeździe Jake'a wrócić pod jego dom i poczekać na zapalenie się światła w kuchni, co będzie znaczyło, że Carla już wstała i się krząta.

Jake jeździł jednym z dwóch saabów zarejestrowanych w okręgu Ford. Jego był czerwony i miał ponad trzysta tysięcy kilometrów na liczniku. Jake'owi przydałoby się coś nowszego, ale nie było go na to stać. Tak nietypowym samochodem w małym miasteczku można było kiedyś nieźle poszpanować, jednak koszty napraw stawały się mordercze. Najbliższy dealer saaba znajdował się w Memphis, godzinę jazdy z Clanton, a to oznaczało, że każda wizyta w serwisie zabierała pół dnia i kosztowała tysiąc dolców. Jake dojrzał już do kupna amerykańskiego samochodu i myślał o tym co rano, gdy przekręcał kluczyk w zapłonie i wstrzymywał oddech w obawie, czy silnik zapali. Jak dotąd zawsze zapalał, ale od paru tygodni Jake słyszał, że robi to jakby niechętnie. Rozrusznik musiał kilka razy pokręcić, a to stanowiło ostrzeżenie, że szykuje się coś poważniejszego. Słuch miał obsesyjnie wyczulony na wszelkie nietypowe dźwięki i szmery. Co drugi dzień sprawdzał też stan opon, patrząc, jak bieżnik robi się coraz płytszy. Wyjechał tyłem na Culbert Street, która — choć dzieliły ją zaledwie cztery przecznice od Adams Street i ich posesji —

zdecydowanie zaliczała się do biedniejszych. Sąsiedni dom też był na wynajem. Przy Adams stały starsze i okazalsze domy z charakterem. Przy Culbert ciągnął się szereg jednakowych podmiejskich klocków, które budowano w czasach, gdy w mieście nikt nie myślał jeszcze o planowej zabudowie.

Choć Carla niewiele na ten temat mówiła, Jake wiedział, że też marzy o wyrwaniu się stąd.

Jeśli rozmawiali o przeprowadzce, to raczej o wyniesieniu się z Clanton na dobre. Trzy lata, które minęły od procesu Haileya, nie przyniosły im zasadniczej zmiany statusu materialnego, na jaką liczyli i która im się należała. Skoro Jake był skazany na codzienną partanię biurową w roli szeregowego prawnika, równie dobrze mógł to robić gdzie indziej. Carla też mogła uczyć gdziekolwiek. Przecież na pewno uda im się znaleźć jakieś miejsce, w którym będą mogli spokojnie pracować, bez ciągłego oglądania się za siebie. Jake mógł się cieszyć szacunkiem czarnoskórej społeczności okręgu Ford, ale wielu białych mieszkańców wciąż go nienawidziło. A szaleńców nie brakowało. Z drugiej strony mieszkanie wśród tak wielu przyjaciół dawało poczucie bezpieczeństwa. Ich sąsiedzi mieli oko na ruch uliczny i reagowali na wszystkie obce pojazdy. Każdy gliniarz w mieście i każdy funkcjonariusz z biura szeryfa okręgowego wiedział, że pilnowanie trzyosobowej rodziny Brigance'ów ma najwyższy priorytet.

Nie było szans, by Jake i Carla naprawdę się stąd wyprowadzili, choć czasami z przyjemnością bawili się w „gdzie byś chciał/chciała zamieszkać?”. Była to jednak tylko zabawa, Jake znał bowiem brutalną prawdę, że nigdy nie odnalazłby się w dużej firmie prawniczej w wielkim mieście oraz że w żadnym stanie nie znalazłby małego miasta, w którym nie roiłoby się od prawników walczących o klientów. Jego przyszłość była na zawsze związana z tym miastem i tak naprawdę wcale go to nie martwiło. Musiał tylko zacząć lepiej zarabiać.

Gdy mijał pustą działkę przy Adams, zmełł pod nosem kilka

przekleństw, myśląc o tchórzach, którzy spalili mu dom, i dorzucił parę soczystych określeń pod adresem firmy ubezpieczeniowej. Z Adams skręcił w Jefferson Street, potem w Washington Street, która przecinała miasto ze wschodu na zachód i stanowiła północną pierzeję rynku w Clanton. Jego biuro mieściło się przy Washington, obok imponującego gmachu sądu. Zaparkował na zwykłym miejscu, bo o szóstej rano wszędzie było pusto, i miał wybór. Jeszcze przez dwie godziny na rynku będzie spokój, bo dopiero wtedy zaczną się otwierać sklepy i biura oraz zacznie pracę sąd.

Natomiast w kawiarni Coffee Shop już teraz robiło się gwarно, a pomieszczenie wypełniał tłumek robotników, farmerów i funkcjonariuszy z biura szeryfa. Przeciskając się między nimi, Jake witał się na prawo i lewo ze znajomymi. Był w tym gronie jedynym bywalcem w marynarce i koszuli z krawatem. Tak zwane białe kołnierzyki spotykały się godzinę później w herbaciarni Tea Shoppe po drugiej stronie rynku, gdzie dyskutowano o stopach procentowych i polityce światowej. W kawiarni rozmawiało się o futbolu, miejscowych plotkach i łowieniu okoni. Jake był jednym z nielicznych przedstawicieli wolnych zawodów tolerowanych w Coffee Shopie, z kilku przyczyn: był powszechnie lubiany, nie zadzierał nosa i miał pogodne usposobienie, a ponadto, gdy któryś z bywalców popadł w tarapaty, mógł zawsze zwrócić się do Jake'a o szybką bezpłatną poradę prawną. Jake powiesił marynarkę na wieszaku na ścianie i usiadł na wolnym miejscu przy stoliku Prathera, pracującego w biurze szeryfa. W sobotę drużyna Ole Miss* przegrała trzema przyłoženiami z Georgią i mecz stanowił główny temat rozmów. Opryskliwa i wiecznie żująca gumę kelnerka imieniem Dell naląa mu kawy, przy okazji ocierając się o niego swym wydatnym zadem, co robiła regularnie sześć

* Ole Miss — potoczny skrót nazwy University of Mississippi (Uniwersytet Missisipi); slangowo „stara panna”.

razy w tygodniu, następnie zaś jak zwykle przyniosła jedzenie, którego nie zamówił: biały tost, kaszka kukurydziana i galaretka truskawkowa. Jake pokropił kaszkę sosem tabasco i usłyszał, jak Prather go pyta:

— Jake, znałeś Setha Hubbarda?

— Nigdy się nie spotkaliśmy — odrzekł Jake. — Ale trochę o nim słyszałem. Mieszkał gdzieś pod Palmyrą, nie?

— Zgadza się. — Prather wsunął do ust kawałek kiełbaski i zaczął żuć.

Jake upił łyk kawy i chwilę odczekał.

— Zakładam, że Hubbardowi coś się przydarzyło, bo użyłeś czasu przeszłego.

— Co zrobiłem? — rzucił Prather. Miał irytujący zwyczaj zadawania pytań głośnym, zaczepnym tonem i spokojnego kontynuowania śniadania. Zwykle znał odpowiedź i chodziło mu tylko o wyciągnięcie czegoś jeszcze.

— Użyłeś czasu przeszłego. Spytałeś, czy znałem Setha Hubbarda, a nie czy go znam, co by znaczyło, że jeszcze żyje. Kapujesz?

— Chyba tak.

— No więc co mu się stało?

— Powiesił się. Znaleźli go wczoraj wiszącego na drzewie — wtrącił Andy Furr, mechanik z serwisu Chevroleta.

— Zostawił list i w ogóle — dorzuciła Dell, przechodząc obok z dzbankiem kawy. Kawiarnia była czynna od godziny, więc kelnerka oczywiście zdążyła już dowiedzieć się wszystkiego o śmierci Setha Hubbarda.

— I co było w tym liście? — spytał Jake.

— Nie mogę ci powiedzieć, słoneczko — zaszczębiotała Dell. — To sprawa między mną a Sethem.

— W ogóle go nie znałaś — mruknął Prather.

Dell miała opinię starej zdziiry o najbardziej ciętym języku w mieście.

— Kiedyś się kochaliśmy. Może nawet ze dwa razy. Nie

mogę wszystkich pamiętać.

— Bo tylu ich było — rzucił Prather.

— Ale tobie, staruszk, nawet nie udało się zbliżyć.

— Czyli rzeczywiście nie wszystko pamiętasz. — Parsknął śmiechem. Kilku słyszających rozmowę też się roześmiało.

— Gdzie był ten list? — spytał Jake, by zmienić temat.

Prather wepchnął do ust wielki kęs naleśnika, pozuł chwilę, po czym powiedział:

— W kuchni na stole. Ma go teraz Ozzie i prowadzi śledztwo, tyle że nie bardzo jest co śledzić. Wygląda na to, że Hubbard rano był w kościele i wszystko było normalnie, potem wrócił do domu, wziął drabinę i sznur i załatwił sprawę. Około drugiej znalazł go jeden z jego pracowników, jak dyndał w lejącym deszczu. Był w wyjściowym niedzielnym garniturze.

Sprawa wyglądała na ciekawą, niezwykłą i dramatyczną, jednak dla Jake'a ofiara była kimś zupełnie obcym i trudno mu było aż tak się tym przejmować.

— Coś mu było? — zaciekawiał się Andy Furr.

— Nie wiem — odrzekł Prather. — Ozzie go chyba znał, ale nic nie mówił.

Dell napełniła ich filiżanki i zatrzymała się przy stoliku, żeby pogadać. Oparła rękę na biodrze i powiedziała:

— To prawda, że nigdy go nie znałam. Ale moja kuzynka poznała jego pierwszą żonę, a miał ich co najmniej dwie. Żona mówiła, że Seth miał sporo ziemi i kupę forsy. Ale trzymał się na uboczu, miał swoje sekrety i nikomu nie ufał. Mówiła też, że był z niego kawał sukinsyna, tylko że ekszony zawsze tak mówią po rozwodzie.

— Powinnaś coś o tym wiedzieć — mruknął Prather.

— Powinam i wiem, staruszk. W ogóle wiem dużo więcej od ciebie.

— Zostawił testament? — spytał Jake. Nie przepadał za sprawami spadkowymi, ale gdy przedmiotem spadku jest znaczny majątek, zajmujący się tym adwokat może liczyć na sowite

honorarium. Czysto papierkowa robota, parę wizyt w sądzie, w sumie nic trudnego. Jake wiedział, że z wybiciem dziewiątej wszyscy prawnicy w mieście ruszą do boju, by ustalić, kto spisał ostatnią wolę Setha Hubbarda.

— Jeszcze nie wiem — odrzekł Prather.

— Ale testamentów się chyba nie rozgłasza, nie? — zapytał Bill West, elektromonter z fabryki obuwia, nieco na północ od miasta.

— Nie za życia spadkodawcy. Każdy ma prawo zmieniać testament do ostatniej chwili, więc wcześniejsze ujawnienie mijałoby się z celem. W końcu możesz sobie nie życzyć, żeby cały świat znał twój testament, zanim umrzesz. Po śmierci spadkodawcy, gdy testament zostaje uznany za autentyczny i złożony w sądzie, treść staje się dostępna dla każdego. — Jake rozejrzał się po sali i naliczył co najmniej trzech klientów, dla których sporządzał testamenty. Robił to szybko i tanio, a jego testamenty były krótkie i zwięzłe. Ludzie o tym wiedzieli i interes się kręcił.

— Jak długo po śmierci zaczyna się postępowanie spadkowe? — spytał Bill West.

— Nie ma sztywnego limitu czasowego. Zwykle wdowa po zmarłym lub jego dzieci odnajdują testament i zanoszą do adwokata, po czym jakiś miesiąc po pogrzebie sprawa trafia do sądu i zaczyna się procedura spadkowa.

— A jak nie ma testamentu?

— Brak testamentu to marzenie każdego prawnika. — Jake parsknął śmiechem. — Bo to oznacza awanturę. Gdyby Hubbard umarł bez spisania ostatniej woli i zostawił dwie byłe żony, może też dorosłe dzieci, może jakieś wnuki, to przez następne pięć lat wszyscy by się żarli o podział spadku. Oczywiście zakładając, że byłoby co dzielić.

— O tak, bez obaw — wtrąciła z daleka Dell. Jej radar ani na chwilę nie przestawał działać. Jeśli ktoś zakasłał, ona z drugiego końca sali pytała go o zdrowie. Jeśli kichnął, biegła

do niego z chusteczką. Jeśli ktoś był zbyt milczący, była gotowa go pytać o problemy domowe lub kłopoty w pracy. Jeśli ktoś zaczynał mówić ściszym głosem, stawała przy nim i dolewała kawy, nie bacząc na zawartość kubka. Nic nie umykało jej uwagi, wszystko pamiętała i nigdy nie pomijała okazji, by wypomnieć mówiącemu, że trzy lata wcześniej mówił coś przeciwnego.

Prather zrobił minę z kategorii „walnięta wariatka”, ale na wszelki wypadek nie powiedział tego głośno. W ciszy dokończył naleśniki i wstał od stolika.

Chwilę później Jake zrobił to samo. Za dwadzieścia siódma zapłacił rachunek i wyszedł z kawiarni, uściskawszy po drodze Dell i zakrztusiwszy się od zapachu jej tanich perfum. Niebo na wschodzie robiło się pomarańczowe, wstawał nowy dzień. Po wczorajszym deszczu nie pozostał ślad, powietrze było chłodne i rześkie. Jak zwykle Jake skręcił w lewo i oddalając się od biura, ruszył przed siebie szybkim zdecydowanym krokiem, jakby się śpieszył na ważne spotkanie. W rzeczywistości nie czekało go dziś nic ważnego. Ot, zwykle użeranie się z problemami klientów.

Jake odbył poranny spacer wokół rynku, mijając banki, agencje ubezpieczeniowe i biura handlu nieruchomościami, sklepy i knajpki. Wszystkie tłoczyły się blisko siebie i ze względu na porę były jeszcze zamknięte. Z kilkoma wyjątkami, wokół rynku stały jednopiętrowe domy zbudowane z czerwonej cegły, a ich balkony z balustradami z fantazyjnie wygiętych żelaznych prętów wystawały nad chodnikiem biegnącym wzdłuż boków idealnego kwadratu, którego środek zajmował otoczony trawnikiem gmach sądu. Clanton nie kwitło, ale też nie zamierało jak wiele miasteczek na głębokim wiejskim Południu. Z powszechnego spisu ludności z 1980 roku wynikało, że w samym Clanton mieszkało osiem tysięcy osób, liczba mieszkańców w całym okręgu była czterokrotnie większa. Zakładano, że w następnym spisie ludności liczby te nieco

wzrosną. Przy rynku nie straszyły puste lokale, zabite deskami witryny ani żalosne wywieszki „Do wynajęcia”. Jake pochodził z Karaway, małego, dwuipółtysięcznego miasteczka niecałe trzydzieści kilometrów na zachód od Clanton, w którym główna ulica zupełnie zamierała. Kupcy się wynosili, knajpki zamykały, a prawnicy likwidowali swoje kancelarie i przenosili się do stolicy okręgu. Obecnie przy rynku w Clanton działało ich dwudziestu sześciu, ale liczba stale rosła i walka o klientów stawała się coraz bardziej mordercza. Ile jeszcze wytrzymamy? Jake często zadawał sobie to pytanie.

Lubił mijać cudze kancelarie prawne i patrzeć na zamknięte na głucho drzwi i ciemne wnętrza. Wykonywał swoistą rundę zwycięzcy. Był gotów do boju, podczas gdy jego konkurencja jeszcze spała. Przeszedł obok kancelarii Harry’ego Rexa Vonnera, najbardziej zaprzyjaźnionego z nim adwokata i niezłomnego bojownika sądowego, który przychodząc do pracy około dziewiętej, często zastawał poczekalnię pełną poirytowanych kandydatów na rozwodników. Harry Rex sam był kilkakrotnie żonaty, wiedział, co znaczy rozchwiane życie domowe, i wolał siedzieć w kancelarii do późnego wieczora. Nieco dalej Jake minął znieawidzoną firmę Sullivana, zatrudniającą najliczniejszą hordeę prawników w całym okręgu. Dziewięciu, według najświeższych danych. Dziewięciu zasrańców, których Jake starał się unikać, po części też z zazdrości. Do klientów Sullivana należały banki i firmy ubezpieczeniowe, więc zatrudnieni u niego prawnicy zarabiali więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci. Minął też zamknięte na kłódkę drzwi biura starego kumpla Macka Stafforda, który od ośmiu miesięcy nie dawał znaku życia. Mówiło się, że zwiął w środku nocy z pieniędzmi klienta i od tej pory ślad po nim zaginął. Żona i dwie córki wciąż liczyły, że wróci, podobnie jak prokuratura, która postawiła go w stan oskarżenia. W głębi duszy Jake miał nadzieję, że Mack siedzi gdzieś na plaży, sący koktajle z rumem i nikt go tu już nie zobaczy. Tu był nieszczęśliwy w nieudanym

małżeństwie. „Uciekaj, Mack, uciekaj!”, mruzczał pod nosem Jake, muskając palcami kłódkę i nie zwalniając kroku.

Mijał kolejne lokale — redakcję „The Ford County Times”, herbaciarnię Tea Shoppe, właśnie budzącą się do życia, sklep z męską odzieżą, w którym kupował ubrania na wyprzedażach, prowadzoną przez Murzynów knajpkę, w której co piątek jadł lunch w gronie innych białych liberałów, sklep z antykami należący do hochsztaplera, przeciwko któremu Jake już dwukrotnie występował w sądzie, bank trzymający drugą hipotekę na jego dom i uczestniczący w tym samym postępowaniu sądowym oraz siedzibę władz okręgu, gdzie urzędował nowy prokurator okręgowy, kiedy był w mieście. Poprzedni, Rufus Buckley, odszedł w niesławie w zeszłym roku, niewybrany przez wyborców na następną kadencję i raz na zawsze usunięty z grona kandydatów na wybieralne urzędy. Przynajmniej Jake — tak jak wielu innych — miał taką nadzieję. Niewiele brakowało, by podczas procesu Haileya on i Buckley rzucili się sobie do gardeł, i obaj do dziś gorąco się nienawidzili. Były prokurator wrócił do rodzinnego Smithfield w okręgu Polk i lizał rany, starając się wiązać koniec z końcem w kancelarii prawnej przy Main Street, jednej z wielu w mieście.

Runda wokół rynku dobiegła końca i Jake otworzył kluczem drzwi do swojej kancelarii w lokalu powszechnie uważanym za najlepszy w Clanton. Dom, w którym się mieściła, jak zresztą większość budynków wokół rynku, postawiła sto lat wcześniej rodzina Wilbanksów i niemal od początku funkcjonowała w nim firma prawnicza któregoś z członków klanu. Do zerwania z tą tradycją doszło w chwili, gdy Luciena Wilbanksa, ostatniego i niewątpliwie najbardziej szalonego członka dynastii, pozbawiono uprawnień adwokackich. Krótko przedtem zatrudnił w firmie Jake’a, przepełnionego szlachetnymi ideami młodego absolwenta prawa. Lucien starał się go z nich wyleczyć, jednak zanim mu się to udało, Stanowa Rada Adwokacka cofnęła mu licencję. Lucien musiał porzucić praktykę, innych

Wilbanksów nie było i w rezultacie Jake przejął we władanie wspaniałe pomieszczenia biurowe. Wykorzystywał tylko pięć spośród dziesięciu pokoi. Na parterze mieściła się obszerna recepcja, w której jedyna pracownica prowadziła sekretariat i witała gości. Na piętrze był gabinet, ogromne pomieszczenie dziewięć na dziewięć metrów, gdzie Jake spędzał dni za potężnym dębowym biurkiem po Lucienie, które wcześniej służyło jego ojcu i dziadkowi. Gdy zaczynał się nudzić — co zdarzało mu się dość często — otwierał dwuskrzydłowe drzwi balkonowe i wychodził na taras, skąd roztaczał się piękny widok na gmach sądu i cały rynek.

Jak zawsze o siódmej zasiadł przy biurku i łyknął kawy. Zajrzał do kalendarza i stwierdził, że dzień nie zapowiada się ani obiecująco, ani szczególnie lukratywnie.

*Fragment książki CZAS ZAPŁATY Johna Grishama.
Tłumaczenie: Lech Zołdziowski & Zbigniew Kociuk*

*Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego, wyłącznie do użytku prywatnego.
Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie
w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*